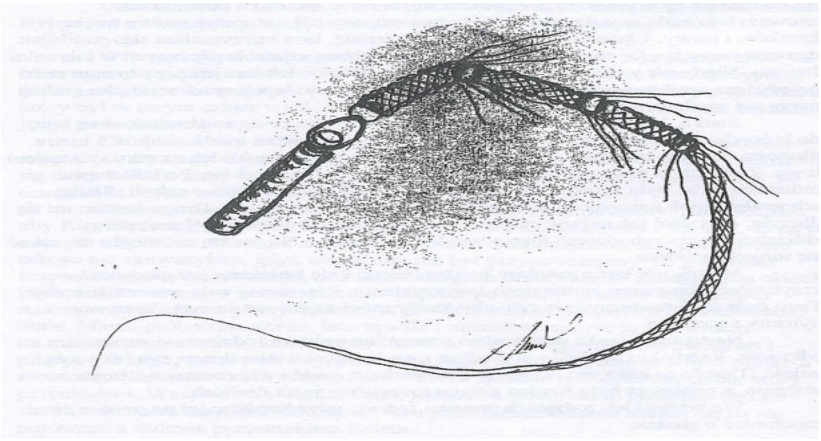
Mrowiński Józef

„Obrazki z dzieciństwa”, Barlinek 1998 (fragmenty)

„Obrazki z dzieciństwa” to wspomnienia Józefa Mrowińskiego z okresu jego zesłania na Syberię. Zostały one zebrane w postaci epizodów z tego okresu, czyli obrazków, które pozostały w pamięci autora.

Poniżej wybrane fragmenty z jego pracy. [Mrowiński, 1986; 1998]. Szkice pochodzą również z pracy J. Mrowińskiego.



Źródło: Mrowiński J. [1998]

Na Syberii spędziłem 6 lat. Byłem wtedy jeszcze chłopcem, ale wiele pamiętam z tego okresu. Warunki, w jakich przyszło żyć mnie, mojej rodzinie i wielu innym Polakom, codzienna walka o przetrwanie i niepewność jutra utkwiły głęboko w mojej pamięci i w wielkim stopniu zaważyły na moim całym życiu. Nie byłem tam z własnej woli. A czy jako dziecko mogłem czymś zawinić, aby cierpieć tak wielką niedolę i poniewierkę. Na to pytanie nikt nie udzielił mi odpowiedzi.

Celem, jaki przyświecał mi podczas pisania tych wspomnień było przybliżenie wszystkim, do których one dotrą, tego co przeżyłem wraz z innymi polskimi rodzinami zesłanymi na Syberię. Wspomnienia pisane były w latach 1978-1986. Wydrukowane „obrazki” ustawione zostały zgodnie z kolejnością wydarzeń, a nie według porządku ich powstania. Piekła, jakie przeżyliśmy nie da się wiernie odtworzyć. Pamięć ludzka jest zawodna, czas leczy rany, więc po tylu latach niektóre szczegóły uległy zatarciu. Zresztą nie chciałbym, aby te ‘obrazki” były szczegółową relacją z tych 6 lat, lecz aby zestawione w pewną całość umożliwiły wyobrażenie sobie tego wszystkiego, z czym musieliśmy się godzić przez cały czas pobytu w Kazachstanie.

Przelanie tych wspomnień na papier było nie tylko moją wewnętrzną potrzebą, było także obowiązkiem wobec tych, którzy zmarli z głodu czy z powodu gnębiących ich chorób i pozostali na zawsze w bezkresnym stepie kazachskim. Myślę, że w ten sposób mogłem spełnić ich wolę, aby potomni dowiedzieli się o tym, jak przyszło im umrzeć.

Pożegnanie Holszan

(...) Pewnej nocy na początku kwietnia 1940 roku zbudziło nas stukanie do drzwi, za którymi słychać było rosyjskie głosy. Mama otworzyła i w drzwiach stanął wysoki oficer w asyście dwóch żołnierzy z bronią; Na pytanie „co się stało” – odpowiedział, że szukają broni i rozpoczęli rewizję. Pomimo, że nic nie znaleźli, kazali nam ubierać się, wychodzić na dwór i zajmować miejsca na wozie przygotowanym do drogi.

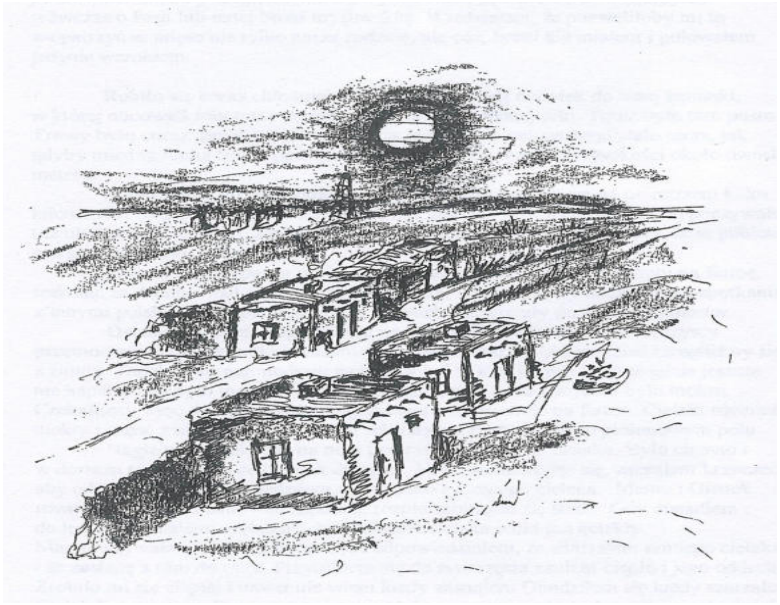
Wszyscy płakaliśmy. (...)Oficer przynaglał, aby szybciej wychodzić i nie pozwalał niczego ze sobą zabrać.

(...)Zbliżał się świt, gdy dowieźli nas do budynku, w którym urzędowali Rosjanie. Znajdowały się tam biura i mała salka –poczekalna. Nie byliśmy pierwsi. Przed budynkiem stały już wozy, a wewnątrz było już kilka rodzin podobnych do naszej, czyli kobiety, dzieci i starcy – mężczyzn nie było.

(...)Kazano nam wychodzić i ponownie zajmować miejsca na wozach. W ten słoneczny, lecz zimny poranek opuszczaliśmy Holszany, nie wiedząc, czy kiedykolwiek zobaczymy nasze rodzinne strony. Po kilku godzinach dojechaliśmy do malej stacji kolejowej, gdzie na bocznicy stało mnóstwo wagonów towarowych, przy których panował ruch wskazujący, że masę ludzi ładowano do nich jak bydło. (...) Po kilku godzinach, wśród krzyku i lamentu masy ludzi, zaczęto zamykać wagony. Wiedzieliśmy, że lada chwila ruszymy. (...) Wtem od strony pierwszych wagonów usłyszeliśmy: "Jeszcze Polska nie zginęła…", nie minęło kilka sekund, a już cały transport śpiewał. Nie pomogło tłuczenie kolbami karabinów w wagony przez konwojentów, którzy krzyczeli ',milczeć polskie psy'. Tysiąc młodych i starych głosów grzmiało słowami „Jeszcze Polska nie zginęła".

(...)Wszyscy śpiewali jednocześnie płacząc i żegnając swoje rodzinne strony swoje domy i znajomych.

Śmierć Ryśka



Mieszkaliśmy w jednym pomieszczeniu wspólnie z rodziną Krupskich i Góralów. Nasza rodzina składała się z 4 osób: mamy, Gienka, Tadka i mnie. Zajmowaliśmy kąt koło okna. Obok nas miała swoje łoże (bo tak można nazwać te kilka metrów kwadratowych) pani Góralowa z synem Lolkiem i córką Basią. Miejsce naprzeciw nas należało do rodziny Krupskich, w skład której oprócz pani Krupskiej wchodzili jej dwaj synowie: Rysiek i Stasiek oraz córki: Gienia i Krysia.

Na środku izby stał piec, który służył nam do ogrzewania i sporządzania posiłków, gdyż posiadał dwa otwory na naczynia. Nie mieliśmy żadnych mebli, a każda rodzina dysponowała jedynie skrzynią, w której przechowywała swój majątek, to jest pościel oraz zapasy żywności, jeżeli takie były. Obok skrzyń było siano, na którym spaliśmy. Za całą pościel służyła nam jedyna pierzyna, w którą podczas podróży zawinięty był Tadek. Pod tą pierzyną, zniszczoną i połataną spała cała nasza czwórka.

W piecu paliliśmy „kizikiem", to jest suszonym obornikiem lub pozostałościami siana, które braliśmy z obór.

Ja z mamą pracowałem w oborze. Mama zatrudniona była jako dojarka, a ja byłem oborowym. Do moich obowiązków należało: wywożenie obornika na zewnątrz oraz wyganianie krów do wodopoju. Praca była ciężka, gdyż krów było ponad 100, a ja miałem zaledwie 13 lat.

Był początek 1942 roku. Zima tego roku była bardzo ciężka. Zapasy żywności malały z dnia na dzień. Mimo, że pracowaliśmy, nikt z władz nie myślał o tym, ze powinniśmy jeść. Od czasu do czasu dostawaliśmy trochę ziarna, ale było tego bardzo mało i nie wystarczało, aby zaspokoić głód. Pracujący dostawali także po kawałku skóry na łapcie.

Większość dnia spędzałem przy bydle. Praca ta wymagała wielkiego wysiłku fizycznego. Na siłach podtrzymywało mnie mleko, którego łyk mogłem od czasu do czasu wypić prosto od krowy. W ten sposób zaspakajałem nieco głód i nie potrzebowałem nic jeść. Moja porcja żywności i porcja mamy,

jeżeli taką otrzymaliśmy, była przeznaczona dla Gienka i Tadka. Do domu starałem się także dostarczyć mięso padłych krów i cieląt. Mimo ze padlinę polewano karboliną, przeznaczaliśmy ją dla celów konsumpcyjnych.

Z dnia na dzień było gorzej, skrzynie z zapasami świeciły pustkami, a krowy nie zdychały. W zastępstwie padliny nosiłem do domu łożyska od krów po ocieleniu, które gotowano, aby napełnić czym bądź wygłodzone żołądki. Jedliśmy nawet dziurawe łapcie ze skóry, które po opaleniu włosów i po trzymaniu trochę w ogniu nawet nie najgorzej smakowały.

Codziennie po powrocie do domu zastawałem przy piecu Tadzika i Ryśka Krupskiego. Najmłodsi w naszej gromadzie zajęci byli prażeniem starych kości, które następnie ubijali w moździerzu, a ubite na mąkę zjadali.

Z dnia na dzień było nam coraz trudniej. Pani Krupska była tak osłabiona, że już nie wstawała, pani Góralowa była również bardzo słaba. Wszyscy byliśmy bardzo chudzi. Najgorzej wyglądali najmłodsi, skóra pomarszczona jak u staruszków pokrywała prawie same kości, gdyż ciałka maluchów pozbawione były mięśni.

Gdy nie mogłem już nic dostarczyć do jedzenia, postanowiliśmy z Gienkiem, że zabijemy małego wychudzonego kotka. Była to trudna decyzja, ponieważ kotek był lubiany przez Tadka i nasz mały braciszek chętnie się z nim bawił. Ale czego się nie robi dla przetrwania? Chcieliśmy zjeść choć jeden posiłek. Ze łzami w oczach „zamordowaliśmy" więc kotka, aby nasz Tadziu mógł żyć.

Któregoś dnia, gdy wróciłem z pracy, po domu kręcił się Rysiu. Wyglądał strasznie. Był opuchnięty, jakby nalany wodą. Podszedł do swojej mamy, przytulił się i oznajmił: mamo ja chcę jeść". Nawet nie płakał - możliwe, że już nie miał łez. Pani Krupska również nie płakała, gładziła jego włosy i nic nie mówiła- widocznie nie mogła. Gienia i Krysia płakały z żalu, nie mogąc w niczym pomóc młodszemu bratu, Po kilku minutach Rysio już nie żył, miał 5 lub 6 lat.

Następnego dnia siostry owinęły go w pozostałość prześcieradła i zaniosły w step, aby zakopać w śniegu, ponieważ nikt z ledwo żywych ludzi nie był w stanie wykopać dołu w zamarzniętej ziemi.

Kilka dni później zmarła pani Góralowa, zostawiając zapłakaną Basię i Lolka, którzy pomimo cierpień przetrwali.

Na wiosnę, gdy pasłem krowy, spotkałem obgryzione przez zwierzęta czaszki ludzkie, możliwe, że była wśród nich główka Ryśka, który nie doczekał wiosny, który umierając śmiercią głodową nie zdawał sobie sprawy, za co cierpi.

Powroty



(...) Coraz bliżej granicy. W swojej wyobraźni widziałem moment jej przekraczania. Tłum ludzi, orkiestra, przemówienia powitalne i specjalnie na nasz przyjazd przygotowane stoły zastawione jedzeniem. Były to jednak tylko wyobrażenia, rzeczywistość okazała się całkiem inna. Stacja kolejowa była pusta i przemówienia nie było. Siedziałem smutny w drzwiach wagonu. W pewnej chwili podszedł milicjant i zapytał:

- Kto namalował orła na drzwiach?

-Ja - odpowiedziałem, sądząc, że pochwali…

- Musisz zetrzeć mu koronę, bo teraz orły polskie nie noszą korony.

Nie pytałem dlaczego, wytarłem koronę, Orzeł stal się inny, uboższy, niepodobny do poprzedniego. Takie było powitanie…

(…) Podróż trwała już prawie miesiąc. Byliśmy zmęczeni drogą i zmianą klimatu. Któregoś dnia zauważyłem, że zbliżamy się już do Wrześni. Z opowiadań mamy wiedziałem, że w tym mieście mamy krewnych. Mama podeszła do drzwi i oznajmiła – tak tom ta sama września. Transport zatrzymał się na kilka godzin. W tym czasie mama udała się do ciotek, aby zabrały chorego Tadzika. Po chwili wróciła z nimi. Ciotki przyniosły coś do jedzenia i bardzo użalały się nad naszym wyglądem. Oddaliśmy Tadka na ręce cioci Zosi, która ze strachem poniosła go do domu. Nas czekała jeszcze droga do Gniezna, aby załatwić formalności z kierownikiem pociągu. Wkrótce ruszyliśmy i po kilku godzinach byliśmy w Gnieźnie. Mama udała się do kierowania pociągu i oznajmiła, że zostajemy, ponieważ we Wrześni mamy rodzinę i tu będzie nam najlepiej. Wysiedliśmy żegnając ze łzami w oczach pozostałych pasażerów, których cel podróży nie był jeszcze znany.

Tej nocy spaliśmy na pryczach w baraku obok stacji. Byliśmy sami. Rano chciałem udać się do PUR w Gnieźnie po jakąś pomoc. Nie wiedziałem, gdzie mieści się jego siedziba. Idąc przez park natknąłem się na grupę dzieci i spytałem o drogę do PUR-u. Nie odpowiedziały mi, lecz rozpierzchły się niczym stado wróbli - pewnie przestraszyły się mnie. Wróciłem do baraku oznajmiając, że nie znalazłem tego biura. Udaliśmy się zatem w kierunku stacji kolejowej. Mama niosła tobołek z pierzyną, Gienek garnek żeliwny z drewnianymi łyżkami wewnątrz, a ja wiadro z klepek oraz kilka miseczek z drewna, wiadro rozeschło się i przeciekało, w szparach był piasek toteż nie nadawało się do użytku. Było tylko ciężarem. Zdenerwowałem się i przed stacją wrzuciłem je do rowu.

Nie wchodziliśmy na stację, lecz zajęliśmy miejsce na peronowej ławce. Mama poszła po bilety, a my usiedliśmy obok naszego dobytku i obserwowaliśmy ludzi. Wydawało się, że są inni. Po chwili mama wróciła z wiadomością, że za godzinę będziemy mieli pociąg do Wrześni.

W międzyczasie podchodzili do nas ludzie pytając, skąd jedziemy?

Dawali nawet pieniądze, których mama nie chciała przyjmować, tłumacząc, że nie jesteśmy żebrakami. – Wiemy o tym i dlatego szkoda was - odpowiadali.

Bibliografia:

1. Mrowiński J., [1998], Obrazki z dzieciństwa (okres 1940 -1946), Barlinek
2. Mrowiński J., [1986], Obrazki z dzieciństwa (okres 1940-1946), Barlinek, Zbiory Ośrodka Karta, ZS-715, Warszawa.